

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ka. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzye. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH. (SERJA III.)

X.

Niepotrzebna nam tedy, niewygodna raczej jest dla nas — powiedzieli sobie panowie finansisci — ustawa Zgromadzenia kupców m. Warszawy z roku 1817. Nam potrzeba gwałtem czegoś takiego, coby stanowiło zaporę dla żywiołu „rdzennie krajowego“ gdyby mu kiedykolwiek zachciało się tu wcisnąć i objąć ster instytucyi, potrzeba stworzyć coś, coby nam dawało pewność że to, t. z. Zgromadzenie kupców pozostanie stanowczo, wyłącznie w ręku naszym.

I otóż z takiej myśli — przewodniej, powstałej w głowach nielada bo w głowach pierwszorzędnym „powag finansowych“, narodził się... dokument drukowany jaki mamy przed sobą. Co to jest zapytanie? Jest to — „Regulamin zgromadzenia kupców“. A co to jest regulamin? No, jużcić nie może być nic innego, jeno bliższe objaśnienie odpowiednich paragrafów ustawy, — instrukcja dotycząca jedynie utrzymania porządku wewnątrz Zgromadzenia. Otóż takby się zdawać mogło, gdyż taki jest cel regulaminów w ogóle, we wszystkich instytucjach publicznych; tutaj jednak, w Zgromadzeniu kupców m. Warszawy, regulamin ma zupełnie inne znaczenie. Nie jest on komentarzem ustawy obowiązującej, ale jej — zniesieniem.

Przeczytaliśmy regulamin ten od pierwszego do ostatniego paragrafu, porównaliśmy go, punkt po punkcie, jak najszczegółowiej z ustawą i przekonaliśmy się, że jest on w swoim rodzaju doskonałością — doskonałością w kierunku sztuki robienia „z kozła barana“ czyli jak w tym razie robienia z instytucyj publicznych — instytucyj danych klik i koteryj — towarzystw ściśle zamkniętych, — robienia słowem tego, co Niemcy nazywają: „eine geschlossene Gesellschaft.“

Na wstępie „regulamin“ powiada: „stosując się do przepisów prawa z r. 1817“ i t. d.; — tymczasem, w dalszym ciągu swej obfitej stosunkowo treści omija on prawo, i wprowadza rzeczy o których się ustawie ani śniło nawet. Co zaś najważniejsza, to, że te rzeczy nowe, nie wychodzą bynajmniej na korzyść Zgromadzenia, lecz na jego szkodę. Zmiana, której wyrazem i dowodem jest ów regulamin, nie jest obliczoną na korzyść tej zasady, na której się opiera prawo z roku 1817 — zasady „zapewnienia porządku w kupiectwie, a z nim wzrostu handlu krajowego“, ale wyłącznie i jedynie na korzyść tego kółka finansistów warszawskich, które — to nowe prawo (!) dla siebie i dla swojej gospodarki stworzyło.

Że tak jest, nie potrzebujemy dla dowiedzenia tracić wiele słów. Fakt — jeden tylko lecz wymowny i przekonujący — objaśni dostatecznie, czym jest regulamin i w jakim celu został on ukuty.

Ustawa z roku 1817 zna dwa jedynie organa władzy w stowarzyszeniu: Urząd starszych i Zgromadzenie kupców. W paragrafie tylko 9-tym ustawa ta powiada, że „starszy i podstarszy zastępowani będą w potrzebie przez tych kupców, którzy na zgromadzeniu najwięcej kresek za sobą mieli“. Orzeczenie ustawy, pod tym względem, jest zresztą tak wyraźnem, że ani żaden urząd starszych, ani żadne również „uchwały zgromadzenia“, na które się regulamin dzisiejszy powołuje, zmieniać a tembardziej znosić go nie mogły, zwłaszcza że „uchwały“ podobne byłyby wymierzone wprost przeciw dobru i interesom samego Zgromadzenia. Tymczasem w regulaminie występuje w roli, nie podrzędnej jakiejś, lecz owszem bardzo wpływowej i dominującej, organ władzy — trzeci. Tym organem jest — „Komitet reprezentantów“. Zkąd on się wziął, jeśli ustawa o jego istnieniu nic a nic nie wspomina, mówiąc jedynie o zastępcach starszego i podstarszego? Ano, stworzył go regulamin, i tutaj właśnie tkwi główne jądro onej intencji zrobienia z instytucyi, powtarzamy raz jeszcze, par excellence publicznej, — instytucyi kliki. W miejsce Zgromadzenia kupców, Zgromadzenia w istotnem tego słowa znaczeniu, o którym jedynie wie ustawa, postawiono ów „komitet“, którego ustawa nie zna, lecz który, mimo to, stanowi tutaj instancję najwyższą.

Trzystu kupców, należących faktycznie i zapisanych do Zgromadzenia, usunięto za nawias, a stworzono sobie... kółko złożone z 60-ciu „reprezentantów“ (wybranych jakoby przez samo Zgromadzenie), osiągając tym sposobem w zupełności rękojmię, że towarzystwo w tej formie będzie już naprawdę zamkniętem, że do władzy w niem nie przyjdzie nikt, oprócz najwybitniejszych przedstawicieli „gospodarki finansistów warszawskich“, od których całe to wybrane grono 60-ciu jest moralnie i materialnie — całkowicie zależnem. Aby jednak i to ciasne kółeczko nie zechciało przypadkiem okazać jakiegokolwiek samdzielności, któraby się Urzędowi starszych mogła niepodobać regulamin nałożył mu z góry wędzidła — i to wędzidła wysoce nawet charakterystyczne. Tak naprzykład, nikomu z owych 60-ciu wybranych niewolno jest (§ 52) „odczytywać“ swojego głosu w danej kwestyi, ale mówić z pamięci (!); żaden też z nich (§ 55) nie może zabierać głosu w jednym i tym samym przedmiocie więcej jak dwa razy (!) i t. d.

Jeżeli jednak regulamin od spraw Zgromadzenia usuwa faktycznie ogół kupców, między którymi jest już i pe-

wna część należących do żywiołu „rdzennego“, to natomiast przypuszcza on bezpośrednio do udziału w tych sprawach inne ciało, specjalnie żydowskie — **K o m i t e t g i e ł d o w y**. O tym wprawdzie organie ustawa z roku 1817 nie również nie wspomina dla tej prostej zresztą przyczyny że naówczas nie istniał on jeszcze, ale zato regulamin wprowadza go tutaj uroczyście, stawiając nawet udział i opinie jego w sprawach Zgromadzenia za warunek sine qua non.

Tym sposobem, dwa te „ciała kupieckie“, złożone z jednych i tych samych, najbliższych sobie krwią i duchem żywiołów, działają wspólnie i w porozumieniu; a są one przytem, mimo dwóch różnych ustaw, tak z sobą jednolicie spojone, że nawet godność Starszego Zgromadzenia kupców i godność Prezesa Komitetu giełdowego, piastowane były długo przez jedną i tę samą osobę, przezjednego i tego samego „potentata“ finansowego.

Nie jestże to ciekawe?

Z tego przeto, cośmy dotąd o regulaminie powiedzieli, cel jego i cały sens moralny przedstawia się jasno: znieść w Zgromadzeniu kupców wszelki wpływ tegoż Zgromadzenia, w znaczeniu, w jakim go zapewnia ustawa, — przez utworzenie „komitetu reprezentantów“, zostawić dla... przyzwoitości pewne pozory tego wpływu, natomiast Urzędowi starszych zapewnić dożywotnie, bodajby z ojca na syna przechodzące panowanie i absolutną władzę w instytucji, — oto kwintesencja mądrości onego ciekawego — statutu.

Jeżeli zaś zwrócimy uwagę, że regulamin ów, zmieniający do gruntu ustawę z roku 1817, nie nosi na sobie żadnej cechy prawodawczej, że jest to wprost robotą kliki; jeżeli dodamy nadto, że tak Urząd starszych jak i „Komitet reprezentantów“, jak wreszcie i Komitet giełdowy, składają się wyłącznie niemal z jednej koterii żydowskiej, związanej z sobą nie tylko interesami, geszefkami, ale i pokrewieństwem; — jeżeli te tylko względy weźmiemy pod uwagę, to bezwzględność i samowola gospodarki finansistów warszawskich przedstawi nam się w takiej okazałości, w jakiej dotychczas nikt jej chyba nie widział.

Prawo powiada: oto macie instytucję, która ma służyć najszerszym i najważniejszym interesom handlu krajowego, a tymczasem przychodzi kilku ludzi i powiada — nie: ta instytucja służyć musi interesom kasty — interesom żydowstwa, na czele którego my tutaj stoimy. Ustawa nie

przeszkodzi temu, bo w jej miejsce stworzymy na pozór rzecz wszędzie praktykowaną i — niewinną, która jednak z ustawą nie będzie miała nic wspólnego, — stworzymy regulamin!

Mimo jednakże tych warunków, w jakich ów regulamin postawił Zgromadzenie, ma ono przecież, a właściwie ma „komitet reprezentantów“ swoje, nawet w tymże regulaminie wyszczególnione — atrybucje. Jakie one są i do czego służą — warto, doprawdy, i temu się przyrzeć. (d. n.)

Dewastacya, czy... szwindel?

(Głos ze wsi.)

Przeszło od pół wieku Towarzystwo kredytowe ziemskie jest wierzycielem całej prawie większej własności u nas. Od pół wieku przeszło, pożyczka ono, amortyzuje, dopożycza, egzekwuje, jednym słowem, dokonywa operacyj finansowych z korzyścią dla ziemian, bez straty dla siebie, jest jedyną poważną i poważaną instytucją finansową, mającą na celu nieść pomoc naszemu rolnictwu i, w chwilach ciężkich, chronić je od upadku. Dotąd było, ogólnie biorąc, dobrze: ziemianie korzystali z względnie do naszych stosunków taniego kredytu, instytucja zaś tego kredytu udzielająca, działając przezornie i oględnie, cieszyła się poważaniem zarówno swoich dłużników, jak i giełd zagranicznych, ceniących wysoko trwałą i pewną podstawę, na której się to nasze Towarzystwo opiera.

Naraz w prasie naszej podnosi się gwałt. Gdzieś tam, z nad Prozny czy Warty, czy nawet z nad Sekwany, leci głos aż nad brzegi... Nowy, głos brzemienny skargą Jeremiaszową nad upadkiem moralności ziemian, niszczących majątki, których od przymusowej sprzedaży obronić nie mogą. Głos ten porusza całą prasę, wywołuje niemal... skandal, trwoży posiadaczy listów zastawnych, osłabia wiarę w siłę fundamentów na których stoi Tow. kred. ziemskie.

Co to jest? Co się stało? Przecież i dawniej majątki sprzedawano przez licytację, a jednak nie słychać było o niszczeniu ich przez ustępujących właścicieli. Jeżeli się zdarzyło coś podobnego, był to wypadek sporadyczny, a winny znajdował karę — nie lekką w opinii publicznej, która, wyrabiając się wśród świadków bezprawia, nie potrzebowała, dla wyrażenia swego sądu, jechać aż w dalekie kraje, — karała winowajcę, nie dotykając całego ogółu. Tak było dawniej.

Dziś, gdybyśmy wierzyć mogli jeremiadom, jakie podniosły się w prasie naszej, smutny przedstawiłby się widok. Oto obywatel, rolnik, szlachcic, staje się dłużnikiem złym,

wiedział s u p i n u m, lecz wujaszek kładł to na karb niewagi, a podsuwając mu gramatykę, mówił:

— P a n t r u j, p a n t r u j jak sroka w kości.

P. Czarkowski widział raz, jak sroka stojąc nad dużą kością, zaglądała ciekawie do jej wnętrza i to mu się tak podobało, że odtąd wziął ją sobie za godło nauki głębokiej. Słowo zaś „pantrować“, którego się na Rusi nauczył, znać było u niego tyle, co uczyć się i razem badać.

XXV.

Pomiędzy kolegami Juliana był jeden, którego studenci znieść nie mogli. Nazywał się Mateusz Czudek. Pochodził on z zacofanej rodziny izraelskiej, z czem atoli tań się przed wszystkimi. Budowę ciała miał drobną i trzymał się przy ziemi, od której i w przyszłości nie zbyt miał odrość. Lubo nie miał wielkich talentów, uczył się pilnie, prawie namiętnie, za co powszechnie „kowalem“ go nazywano; bo jak kowal bezustannem uderzaniem młotu żelazo kuje, tak i on uczył się przedmiotu jedynie ciągle go powtarzając. Nazwisko jego w ustach młodzieży ulegało zmianom rozmaitym. Studenci nazywali go: Cudak, Czubek, Czopek, Dudek i tym podobnie. Nie kończyło się jednak na przezwiskach. Każdy z kolegów poczytywał sobie za obowiązek przynajmniej raz na dzień dobrze mu dokuczyć. Ten złał przed nim ławkę atramentem, tamten szpilką ukłuł go

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ
Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg).

Z początku chłopiec słuchał dosyć uważnie, powoli jednak suchość przedmiotu i monotoność wykładu tak zmęczyły jego żywą naturę, że gdy wuj mówił, on myślał o niebieskich migdałach i rad był niesłychanie, gdy się lekcja skończyła. To samo działo się w szkole. Wszystkie przedmioty pojmował i wszystkich uczył się pilnie, krom greki i łaciny. Te tak go zmęczyły, tak mu się uszami przelały, że gdy nauczyciel języka greckiego lub łacińskiego wchodził do klasy, Julian dostawał prawie dreszczów nerwowych.

Wuj nie dostrzegł zmiany w swoim siostrzeńcu i święcie wierzył, że za życia doczeka się tej chwili, gdy ostatni członek jego rodziny zostanie profesorem języków klasycznych. Wprawdzie zdarzyło się kilka razy, że na zapytanie wuja, wykładającego grekę, jaki jest a u r i s t u s, odpowiedział na oślep p r i m u s, chociaż właśnie był s e c u n d u s, w łacinie zaś nieraz zamiast g e r u n d i u m, po-

bankrutem podstępny, działającym z premedytacją na niekorzysć wierzycieli, a na swój pożytek!

Czy tak się jednak dzieje naprawdę, czy opinia taka nie powstała ze złej woli, a nie rozszerza się i gruntuje dla celów ubocznych? Czy nie jest to szwindel, który jedni świadomie, a drudzy bezwiednie protegują, wspierają?—oto pytanie warte, zdaje się, rozstrzygnięcia, a przynajmniej namysłu.

Przypatrzmy się zwykłym dziejom sprzedaży „z Towarzystwa“.

Ziemianin, znękany niskimi cenami produktów rolnych, brakiem zupełnym jako tako przystępnego kredytu, podatkami i t. p., nie może już znaleźć ratunku. Nie może, lecz czy nie chce? Gdzie tam! Łudzi się do ostatniego dnia nieomal, że przecie „wyrwie“ z kąd kilkaset rubli, aby usunąć z nad głowy Damoklesowy miecz przymusowej sprzedaży. Biega, kręci się po miastach i miasteczkach, szukając nie już taniego, ale jakiegobądź kredytu, konferuje z Ickami i Moszkami, zaczepia krewnych i znajomych, w niewiele lepszej sytuacji będących. A tymczasem w domu gospodarka idzie, lichy wprawdzie, ale zawsze idzie. Pola się lichy mierzwią i lichy zasiewają, gospodarstwo, naturalnie, upada, ale się nie rozpada zupełnie, gdyż każdy, licząc na jakiś blizki, niespodziany ratunek, broni swój warsztat od zupełnej ruiny;—smaruje więc czem i jak może koła tej maszyny, byleby nie stanęła już ostatecznie, byle, po usunięciu groźby sprzedaży, można na niej dalej pracować.

Dnie idą i idą, termin sprzedaży zbliża się, a kredytu jak nie było tak niema. Małomiasteczkowi Rotszyldzi, wyrzekłszy ostatecznie swój wyrok: *капсон* — zaczynają przemysliwać, jakby wyciągnąć korzysć z jego upadku. Najprostszą rzeczą jest kupić majątek na licytacji, wycisnąć co się da i znaleźć znowu kogoś, komu się go wkrci z odpowiednim... zyskiem.

Lecz kupić trzeba tanio, jak najtaniej, za bezcen, więc zaczyna się rozchodzić wieść, że dany majątek jest zniszczony, że pola nieuprawne, las wycięty, budynki w rozpaczliwym stanie, jednym słowem, że jest to ruina, której nikt już podźwignąć nie jest w możności. A jeżeli jeszcze w majątku jest las i łąka, dwie rzeczy najbardziej dla synów Izraela pożyteczne, bo to się ich nie obsiewa, nie orze, a grosz z nich łatwy płynie,—wówczas *в а в и с т и с !* Dla zwyciężonego w walce z przeciwnościami niema już ratunku! Nasi „ziomkowie mojąszowego wyznania“ tak potrafią w opinii ogółu zdyskredytować majątek i obniżyć wartość jego, a robią to na tak szerokich przestrzeniach, że gdy przywieziony do ostateczności właściciel chciałby już za byle co sprzedać swą posiadłość, nie znajdzie kupca, przy największych nawet ustępstwach i ofiarach. Wówczas, zrozpaczony opuszcza ręce, patrzy obojętnie już prawie jak sekwestrator sprzedaje za zaległe podatki inwentarz, wreszcie, gdy ostatni dzień się zbliża i ostatnia gwiazdka nadziei zgasła, widząc się na brzegu nie już biedy, lecz nędzy, czując że sprzedaż

w ramię, ów, gdy profesor go pytał, rozmyślnie, błędnie mu podpowiadał, inni nareszcie zarzucali mu sznurek na szyję gdy do klasy wchodził, lub go bili hustkami splecionymi. Chłopak nigdy się nie bronił, gdyż mimo wieku starszego był słabszym od każdego z kolegów, a wszystkich miał przeciw sobie. Zamiast stawać do walki nierównej, słodko się uśmiechał, co studentów do pasy doprowadzało. W tym uśmiechu Czudka, który był objawem gniewu bezsilnego oni czuli coś, co ich mroziło i za to go nienawidzili.

Między sześćdziesięcioma uczniami, Julian Rossowski nie potępiał Mateusza Czudka, owszem, brał go nawet w obronę, ilekroć nadarzyła się sposobność. Nie mógł on wprawdzie powiedzieć, by dla Czudka miał sympatyę; przeciwnie, ta postać układna i ten wzrok chytry robiły tak na nim, jak na innych, wrażenie przykre; wszakże, z drugiej strony, nie mógł znieść niesprawiedliwości, którą widział w znęcaniu się wszystkich nad jednym. Zdarzyło się kilka razy, że gdy chłopcy chcieli obić Czudka, on go własnymi zasłonił piersiami. Koledzy zbyt kochali Juliana, by mu to mogli wziąć za złe; zato nieraz mu mówili:

— Bron go, bron!... Przekonasz się z czasem, jak ci się ten padalec wywdzięczy!

Julian nie myślał o wdzięczności, bo go nie bronił dla nagrody. Z natury szlachetny i oburzający się na wszelką niesprawiedliwość, postępował jak mu serce nakazywało,

w takich warunkach dokonana, nietylko nie przyniesie dlań żadnej przewyżki, ale nie pokryje nawet połowy długów na majątku zahypotekowanych, stara się zebrać coś grosza, bodaj na wyjazd do miasta, na pierwsze dni nowej, a ciężkiej i bolesnej egzystencji. Sprzedaje więc coś z narzędzi rolniczych, jakieś resztki zboża, słomę nawet niekiedy, aby zebrać bodaj paręset rubli.

Lecz wówczas też to właśnie w sąsiednim miasteczku robi się wielki gwałt. Amator na kupno lub jego agent, bieży do delegata Towarzystwa, donosząc o dewastacyi wzywa go, w imię interesów mocodawczej instytucyi, do zapobieżenia ruinie, która narazić może Towarzystwo na pozostanie przy tak zniszczonym majątku, a stugębna fama rozszerza po świecie tę wiadomość, odstręczając w ten sposób odstawiania do licytacji każdego, kto mógłby cenę podnieść i narazić przez to miasteczkowych bankierów na utratę spodziewanych zysków.

I oto do drugiej ze zniżonego szacunku licytacji staje żyd, w asystencyi kilku współwyznawców, udających również licytantów, postępuje paręset lub nawet kilkadziesiąt rubli ponad cenę sprzedażną, układa się z wierzycielami na pierwszych numerach zabezpieczonymi, i za cenę niewiele przeroszącą wysokość pożyczki przez Towarzystwo udzielonej, staje się obywatelem ziemskim, właścicielem tak z *д е в а с т о в а н е г о* majątku!

Ze w słowach tych niema ani słowa przesady, stwierdzić to mogą żywymi przykładami. Majątek C. w powiecie szczyżyńskim położony, liczący włók 78, w których lasu zwartego, rębego, brzozonego i olszowego, włók 28, łąk włók 29, z budynkami zupełnie dobrymi, z zasiewami ozimymi, poszedł na licytacji, przed kilkoma zaledwie tygodniami, za sumę .. 26, wyraźnie *д в у д з и е с т у с з е с т и у* tysięcy rubli. Ale też trzeba było słyszeć jak okropnie, na pół roku przedtem, obniżano jego wartość istotną. Plotka i tendencyjne kłamstwo przyjęły się tak dobrze, że nawet Dyrekcyja Szczegółowa Łomżyńska była już na seryo w obawie, czy Towarzystwo nie będzie zmuszone utrzymać się przy posiadaniu majątku dla uratowania swej sumy. I dziwić że się teraz że majątek, w którym sama wartość drzewa sążniowego przechodziła 50 tysięcy rubli, poszedł za połowę tej ceny? A nawet ratunku być nie mogło, żyd bowiem, który przed kilkoma laty nabył część lasu, tak się dobrze zabezpieczył, że jednego morga sprzedać nie można było bez jego pozwolenia, pozwolenia zaś, naturalnie, nie dawał, działając wprost na korzysć współników i — współwyznawców.

Lecz oto przykład drugi:

W łączyckiem, majątek A... mający 50 włók pięknej pszennej gleby, *д о б р з е* zagospodarowany, gdzie włókę, w normalnych stosunkach, płacono po 3 tysiące rubli, poszedł za sumę 34 tysięcy rubli!

Przykładów takich nie zabrakłoby mi, chociażbym cały numer „Roli“ chciał wypełnić niemi.

nie pytając, co z tego wyniknie. Julian nie przestał na samej obronie. Widząc że Czudek bardzo mizernie wygląda, co przypisywał brakowi dostatecznegożywienia, pod pozorem, że radby z nim niektóre przedmioty powtarzać, zapraszał go codzień wieczór na herbatę, którą pijał w swoim pokoju, i z pięciu guldenów, które otrzymywał od wuja na drobne wydatki, dawał mu większą połowę, to jest trzeci czasem nawet cztery guldeny. Czudek był mu bardzo wdzięcznym, i dobrodziejem swoim go nazywał.

Jednej zimy mrozy były nadzwyczajne, ludzie odmrażali sobie ręce i uszy, ptactwo nieżywe z dachów padało. Młodzież biedniejsza, nie mająca cieplejszej odzieży, całkiem do szkoły chodzić przestała, oczekując powietrza łagodniejszego. Czudek miał tylko lekki surducik i jakąś chustkę do szala podobną, którą zasłaniał sobie szyję, nos i uszy, na dwór wychodząc. Mimo tak skromnego ubrania, jednej godziny nie opuścił. Przez ulicę biegł cwałem, ręce w kieszeniach trzymając, a gdy wpadał do klasy, cały siny od zimna, koledzy więcej się nad nim nie znęcali. Na widok tak wielkiej nędzy, umilkła ich niechęć. Trwało to tydzień; nareszcie Czudek nie przyszedł do szkoły. Nikt o niego nie spytał, nikt go nie żałował, chociaż każdy się domyślał, że jedynie brak odzieży zatrzymał go w domu. Inaczej postąpił Julian. Wyszedł ze szkoły, pobiegł natychmiast do Czudka, aby się dowiedzieć co się z nim dzieje. Znalazł go w izdebce

Jakiż tedy jest powód tak niezmiernie niskiego szacowania majątków wystawionych na sprzedaż przymusową? Ludzie źli, obalamuceni lub interesowani wołają: dewastacya, — ja zaś powiem: szwindel.

Dewastacyą nie można nazwać sprzedaży kilkunastu sztuk bydła, kilku koni albo paru bryczek. Są to ruchomości, mogące być nabyte za sumę kilku setek rubli i, rzecz prosta, o tyle mniej powinien być majątek ceniony, o ile widoczna jest potrzeba robienia koniecznych wkładów z chwilą jego objęcia. Może to obniżyć wartość o 5, 10, 15%, ale nigdy o 75%.

Nie będę tedy, zdaje mi się, zbyt dalekim od prawdy, twierdząc, że upadek cen licytacyjnych wywoływany był po największej części przez interesowanych, dążących do kupna za jak najniższą sumę. Jak chińczycy swego papierowego smoka przeciw europejskim wojskom, tak nasi różnego gatunku finansisci wystawiają na stracha... dewastacyę. Tylko że anglicy nie lękali się smoka i śmieli się zeń. My zaś, obliczoną na cudzą krzywdę, tendencyjną plotkę przyjmujemy bez zastrzeżeń, przed strachem cofamy się bez zastanowienia.

Nie wchodzę tutaj w głębsze przyczyny upadku ceny ziemi w ogóle. Nie rozprawiam o trudnych i niepodobnych do usunięcia, na razie przynajmniej, warunkach, w jakich większa własność zostaje; chodziło mi tylko o zwrócenie uwagi na krzyczącą niesprawiedliwość przypisywania wszelkich klęsk winie jednostek, oskarżania, bez faktycznych podstaw, obywatelstwa naszego o złą wiarę i wolę.

Wszakże nietylko wrogie w ogóle szlachcie, jako takiej — żywiły rzucają na nią, za ową mniemaną dewastacyę, kamieniem potępienia. Ba, nawet organ rolników, mający stać na wysokości Katonowej cnoty, nie wchodzić w istotę rzeczy, wygłasza swe oburzenie, z powodu „upadku honoru obywatelskiego“! Et tu Brute contra me?...

Oddajcie, panowie dziennikarze, co się komu należy; — karćcie, piętnujcie wszelkie nadużycie prawdziwe, potępiajcie rolnika, co niszczy rzeczywiście majątek, przy którym się utrzymać nie może, co nie obsiewa ziemi i nie użyźnia, psuje i rujnuje budowlę, wyprzedaje ostatki lasu. Takich stawiajcie śmiało pod pręgierzem opinii publicznej — zgoda; — wraz z wami złączymy wszyscy zawsze swój głos. Ale — na Boga! — nie pomagajcie mimowoli, nieświadomie — chcąc w to wierzyć — szwindlowi i okrutnemu wyzyskiwaniu niedoli, nie bądźcie trąbą, rozgłaszającą światu nieprawości szlachty i nie czyńcie się przez to bezwiednymi pomocnikami kasty wrogiej i pasorzytnej, — pomocnikami w najwstrętniejszych jej machinacyach!...

N. J.

małej, ciemnej, nieogrzanej, w której mieszkało razem czterech studentów. Czudek zziębnięty, wygłodzony, ledwie mógł się z łóżka podnieść, na którym leżał owinięty w surdut i kołdrę, a więc w cały swój majątek. Na ten widok, Julianowi zakręciły się łzy w oczach. Co miał pieniędzy, zostawił koledze na stoliku, sam zaś cwałem pobiegł do domu, z kądem w pół godziny przyniósł mu ubiór zimowy i płaszcz szary, bandycki, który od wuja dostał na imieniny. Wojciech widząc, że panicz z takim pospiechem suknie z domu wynosi, pokręcił jeno głową, ale starszemu panu słowem o tem nie wspominał.

Czudek, otrzymawszy pomoc, której się nie spodziewał, schwycił Juliana za rękę, by ją koniecznie pocałować. Julian jednak wyrwał rękę, zawstydzony, i natychmiast z izby wybiegł, jakby się dopuścił występku.

Czudek wrócił do szkoły i dalej uczył się pilnie.

XXVI.

Pan Czarkowski ani się spodziewał, jak wielkiego miał dożyć zawodu. Chociaż Juliau uczył się pilnie, z greki i łaciny ledwie z wielkim wysiłkiem promocyę otrzymywał, gdy zaś usiadł do matury, z obydwóch tych przedmiotów przepadł z kretesem. Wuj dowiedziawszy się o tem, rozchorował się na piękne. Tyle nadziei, i wszystkie zawiedzione! Jego siostrzeniec miał być znakomitością, tymczasem będzie niczem... Nie, to okropne! I nietylko to jedno trapiło

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

Co się tyczy Banku franko-egipskiego, jestto jedna z tych ogromnych maszyn żydowskich, którą trzebaby rozebrać na części i zanalizować, chcąc sobie zdać sprawę z położenia ekonomicznego nietylko Francji ale świata całego.

Bank franko-egipski, którego dyrektorem jest żyd bardzo uprzejmy, Edgar May, i który prawie wyłącznie złożony jest z żydów, robi interesa zwyczajne, jak np. interes „Didot-Botin“, na którym Edmund About zrobił część swojej fortuny, „Browary i słodownie francuzkie“, „Wody konstantynopolitańskie“, „Fabryki broni w Saint-Etienne“; Bank ten uważa, że mało jeszcze straciliśmy na Meksyku i patronuje gorąco Bank narodowy meksykański, zajmuje się wymianą, pożyczka na 33%, wreszcie podejmuje się egzekwowania należności w Egipcie. Trzyma on się systemu żydów angielskich i lewantyńskich, którzy zdołali do szczętu prawie obdrzeć nieszczęśliwych fellahów, następczając im drobne pożyczki; fellahy nie są w stanie oddać na termin i zostają wywłaszczeni. Jestto zawsze jeszcze wojna starożytna, ogałająca słabszego ze szmatu ziemi i obracająca go w niewolnika; tylko tutaj wojnę prowadzi z oddalenia żyd, ukochany przez Renana, ten który umiera na chorobę mleczną pacierzowego, w pałacu na Polach Elizejskich.

Wszystkie te operacje są tylko przygodnemi; główny interes Banku franko-egipskiego stanowią syndykaty, ażyotaż, szwindle giełdowe, dokonywane w porozumieniu z figurami rządowemi.

Wyprawa do Tonkinu była jedną z takich operacji.

Nie podobna przypisać jej żadnym pobudkom patriotyzmu ani wyższemu. Polityka kolonialna, mająca rację bytu dla narodów, którym przeludnienie sprawia kłopot, nie ma sensu dla Francji, w której liczba urodzeń mniejsza jest aniżeli gdziekolwiek indziej, i która zmuszona jest sprowadzać obcych robotników na swoją ziemię. Ta cudowna Algerya, którą mamy za progiem, która gwałtem domaga się uprawy, a do której nikt iść nie chce, jest najlepszym dowodem nieużyteczności naszych dzierżaw zamorskich.

Hiszpanie, włosi, maltańczycy liczniejsi tam są niż francuzi. W prowincji Oranu jest 83,000 hiszpanów a 58,000 francuzów. Francja z Ameryką Południową, o którą się nigdy nie troszczyła, robi interesów na 920 milionów, a ledwie na 306 milionów z Algierją, która ją tyle pieniędzy i ludzi kosztowała.

Najwyższa cyfra towarów francuzkich przesłanych do osad francuzkich w Oceanii, wynosiła wartość 618,567 fr.!

biednego starca, — miłość własna odegrała tu także rolę niemałą. Wszak wszyscy profesorowie wiedzieli, że wuj Juliana Rossowskiego, pan Konstanty Czarkowski, uważając się za lingwistę znakomitego, sam siostrzeńca uczył greki i łaciny. Jakież więc będą mieli teraz wyobrażenie o nim samym, o tym wielkim klasyku, który połowę życia strawił nad Homerem i Wirgilim?! Zaiście, taki zawód mógł go nawet do grobu wtrącić!

Nietyle może cierpiący co rozdrażniony, biedny starzec dziesięć dni w łóżku przeleżał i przez cały ten czas nie pozwolił Julianowi do siebie przychodzić. Miała to być kara za jego ciężkie przewinienie. Była nawet chwila, że chciał chopca tam odesłać, z kądem przyjechał, wszakże zły ten zamiar prędko porzucił, bez Juliana bowiem jużby żyć nie umiał.

Nareszcie jedenastego dnia rano pozwolił siostrzeńcowi przyjść do swego pokoju, wszakże ręki nie dał mu do pocałowania i surowem spojrzeniem przy łóżku go zatrzymał. Julian stał zakłopotany, z oczyma w ziemię wlepionymi, obracając kapelusze, który w rękę trzymał. Wuj przypaływał mu się chwilę i głową potrząsał. Potem rzekł:

— Niech cię nie znam! Z ciebie nic nie będzie!

Młodzieniec otworzył usta, jakby chciał się bronić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W Kochinchinie niema nic oprócz urzędników francuzkich, którym trzeba płacić. Do wszystkich razem kolonij swoich, Francya wysyła produktów swoich za 47 milionów franków rocznie!

Ta brutalna wymowa cyfr skacze do oczów każdemu, pojmie ją umysł najograniczeńszy. Mieszkańcy Tonkinu, którzy są najuboższymi z ludów azjatyckich, i którzy żyją wyłącznie uprawianym przez siebie ryżem, w przeciągu sześciu lat nie kupią za milion naszych towarów.

„Głowę dam w zakład — mówił w komisji wiceadmirał Duperré, b. gubernator Kochinchiny — że nikt nie wskaże mi francuza, któryby w Tonkinie, na drodze przemysłowej, zdołał zarobić tyle, żeby miał za co powrócić do Francji.“

Pan A. Bleton, który wysłany był przez ministra marynarki i kolonij w misji handlowej do Tonkinu, i którego raport był publikowany, nie widział w tym kraju zgoła nic, coby eksploatować lub importować można było. Trochę pieniędzy zarobiłby tam można, według niego, jedynie na zakładaniu k a n t y n dla urzędników europejskich i na zaprowadzeniu pralni. W chwili gdy Niemcy stoją groźnie u bram Francji, wysyłać żołnierzy na śmierć po to, aby móżdż prać brudną bielizną anamitów i tonkińczyków, koncept to, co najmniej, dwuznaczny.

A jednak francuzi poszli do Tonkinu dla interesu.

Niechoby kto temu nie wierzył! Toż Tondy, nawet już po klęsce pod Lang-Son, krzyczał na korytarzach, izby: „Nigdy nie ponizę sztandaru Francji! Honor narodowy przedewszystkiem! Choćby przyszło poświęcić pięćdziesiąt tysięcy ludzi, nie porzucę Tonkinu!...“ — „No, to trochę za grubo — mówiono sobie — ale, niech będzie jak chce, zawsze zuch z tego Tondy!...“

Dietz-Monin i Bozerian z tego samego tonu śpiewali w senacie, a *patres conscripti* z uwielbieniem powtarzali: „A to, panie, zuchy!“

Wtem pan Andrieux przyniósł komisji tonkińskiej dokument, który pana Tondy i jego przyjaciół w nowym ukazał świetle. Treść tego papieru była taka:

„Projekt założenia wielkiej kompanii dzierżawców rządowych w Indo Chinach.“

„Artykuł pierwszy. Prezes rady ministrów, minister spraw zagranicznych, w imieniu rządu, udziela koncesję generalnemu francuzkiemu Towarzystwu indochińskiemu, reprezentowanemu przez p. p. X. X. X., którzy przyjmują:

„1. Koncesję, na lat dziewięćdziesiąt dziewięć, wszystkich ziem, lasów i kopalń, wakujących w Kochinchinie, Anamie, Tonkinie i Kambodży, mających charakter dóbr rządowych.“

„2. Prawo wyłączne:

„Założenia w Tonkinie, Anamie i Kambodży Banku emisyjnego, pożyczkowego i dyskontowego, używającego praw i przywilejów przyznanych Bankowi indochińskiemu dekretem z dnia 21 stycznia 1875;

„Budowania i eksploatowania dróg żelaznych, których założenie poleci rząd francuzki;

„Założenie i eksploatowanie linii transportowych morskich i żeglugi na rzekach, oraz portów, kanałów, doków i magazynów, jakie się okażą potrzebnymi;

„3. Pobór w gotowiznie i w naturze, według praw anamickich, podatku gruntowego, oraz realizację na gotówkę, na rachunek rządu, części podatku pobranej w naturze, za mającem się ustanowić wynagrodzeniem.“

Do tego projektu dołączona była notatka, pisana ręką Ferrego i podpisana jego inicjałami, świadcząca że ten traktat finansowy przedstawiony mu został przez p. p. Tondy, Dietz-Monina i Bozerian'a, oraz innych deputowanych i senatorów tego samego odcienia.

Wszystko to wypowiedziane jasno, tak że nie razi prawie. Dawniej, jeżeli trafiali się ludzie publiczni frymarzący mandatami, to kryli się, przedsiębrali nieskończone ostrożności, odwracali głowę, żeby nie widzieć biletów bankowych albo paczek akcyj, które faktorzy, dyskretni jak grób, po audyencyi, zostawiali, niby przez zapomnienie. Na biurku. Czestokroć nawet tak postąpić nie śmiano; czekali Nowego Roku, żeby córce osoby, która raczyła się zajmować sprawą interesanta, posłać w prezencie ładną lalkę od Giroux, która to lalka przypadkiem miała na sobie brylantów za pięćdziesiąt tysięcy franków. Czasem znów brylanty w tabakierze lub dokoła portretu, ogniem swoim osłaniały brudne kompromisy.

Dzisiaj handel sumieniami prowadzi się jawnie, otwarcie, cynicznie. Z układami tego rodzaju chodzi się do prawników, prosząc ich, aby je uregulowali jak należy, żeby

potem nie było protestów. Potem bezecenstwa te składają się u notaryuszów,

„Których szylid bezczelnie wieści
Sto lat nieskalanej człości.“

Zanim jeszcze zwiertzył tajemnicę pana Tondy, Andrieux zamieścił w dzienniku „Matin“ wcale spokojną analizę większej części traktatów, odnoszących się do Tonkinu.

Cała rodzina Ferrych bierze udział w tej obławie. Pan Bavier-Chauffour, kuzyn Juliusza Ferrego, który zaślubił siostrzenicę Floqueta i który bez sukcesu dyrygował Bankiem w Bernie, wysłany został na krańce Wschodu, jako reprezentant interesów całego pokolenia.

„Correspondance Radicale“ ogłosiła tekst umowy zawartej przez p. Bavier-Chauffour z dworem anamskim.

Pan Bavier-Chauffour, który, z tytułu pokrewieństwa z ministrem, posiadał stanowisko uprzywilejowane, kupił:

1. Całą wyspę Ke-Bao na przeciąg stu lat, z tem co na ziemi i pod ziemią i t. d., za 60,000 dolarów (licząc dolar 4 fr. 55 c.), płatne 31 Sierpnia 1886 r.

2. Pokłady węglowe w Hu-Gae, nad zatoką Allong, za 40,000 dolarów, na ten sam przeciąg czasu, płatne tak samo jak poprzednie.

Dwór anamski będzie pobierał 1 procent od zysków czystych, i ustanowi przy eksploatacyi mandaryna, w charakterze kontrolera finansowego.

Po stu latach, koncesye udzielone zwrócone zostaną Anamowi, chyba żeby nastąpiło nowe porozumienie ze spadkobiercami pana Bavier-Chauffour; w każdym razie, dwór anamski obowiązany będzie tym ostatnim dać pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, równymi im propozycjami.

Oprócz tego, p. Bavier-Chauffour otrzymuje prawo budowania mostów, dróg żelaznych i t. d., cedowania, przenoszenia i sprzedawania.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ideaty belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

Opisując czy zdarzenia, czy osoby, pamięta Jeź przede wszystkim o sobie. Gawędzi ciągle z czytelnikiem, robi spostrzeżenia, czasem palnie oracyę krytyczną, słowem, — wysuwa siebie zawsze na pierwszy plan, niwecząc całą iluzję powieści. Dyalogi jego bywają nieraz bardzo dziwne. Ludzie rozmawiają z sobą jakimiś zwierzęcemi chrząkaukami, mrużeniami: thm, uhm, chi, chi, che, ihi, o hoho, prh, hi, hrrm, i t. p.

Gdy takie „oryginalności“ zachwaszczają dzieła z kadład cenne, zawierające czy myśli dodatnie, czy podniosłe charaktery, jak w powieściach Jeża napisanych przed 20-ma laty, zapomina o nich krytyk, stawiający ideę wyżej od formy; kiedy jednak szpecą utwory, przepelnione karykaturami, jednostronnemi sądami i psychologicznemi fałszami, wtedy stają się nieznośne.

W tych samych „Ofiarach“ pisze Jeź:

— Nic straszliwszego, jak powieściopisarzowi na nazwę nudziarza się narazić. Zginąć raczej!

Tymczasem nie zginął Jeź, owszem — doczekał się tytułu „znakomitego powieściopisarza społecznego z kolorytem postępowym“, a bywa przecież nieraz tak srodze nudnym, że potrzeba być z urzędu krytykiem, aby przełknąć bez zażnięcia jego rozczochrane i bezładne fabuły.

Ma się rozumieć, że spostrzeżenia powyższe nie odnoszą się do powieści historycznych Jeża, między którymi błyszczą tak wyborowe dzieła, jak — „U s k o k i.“

Daleko więcej niż p. Walerya Marrenowa, a nawet Teodor Tomasz Jeź, należy pan Bałucki do beletrystów „postępowych“. Podczas bowiem kiedy pierwsza zadawała się luźnemi uwagami, przyczepionemi w miejscach najmniej właściwych, rozrzuconemi niby fałszywe brylanty po fabułach, których treścią rzeczywistą bywa tylko — namiętność, a drugi nie rozumie „nowych czasów“ w całej rozciągłości ich dążeń, Bałucki wciela z pełną świadomością wszystkie hasła „młodej prasy“ w postaci swoich utworów.

Czego pragnie pani Orzeszkowa, o tem marzy p. Bałucki.

Ten świat — według nich — dawniejszy, ludzący

się mrzonkami poetycznymi, świat naszych ojców romantycznych, przemiął, przeżył się, wytworzywszy w końcu formalizm i sybarytyzm estetyczny. Musi on ustąpić epoce trzeźwej, praktycznej, szukającej „ognia, co ma oświecić ludzkość, w ziemi i na ziemi“.

Jak pani Orzeszkowa, upodobał sobie i Bałucki: inżynierów, mechaników (Adolf Schmidt w „O kawał ziemi“ i August w „Siostrzenicy księdza proboszcza“), przemysłowców (Józef Dylski w „Byle wyżej“), adwokatów (Józef w „Błyszczące nędze“), lekarzów (Agaton w „Żydówce“, a nawet prostych rzemieślników (kował Jan w „Pańskich dziadach“), w czem prześcignął powieściopisarkę litewską. Pan Bałucki jest w ogóle szerszym postępowcem od swej koleżanki z Grodna, bo podczas, kiedy pani Orzeszkowa bierze dosyć często swe typy dodatnie z pomiędzy szlachty, on otacza szczególną sympatją ludzi tylko pochodzenia gminnego. Józef Dylski *recte* Dyl i adwokat Józef wywodzą się z krwi chłopskiej, a kował Jan jest synem ubożego krawca.

I na miłość, mimo wyraźnej skłonności do powikłań romansowych, któremi ubarwia zbyt często fabułę, zapatruje się p. Bałucki ze stanowiska praktycznego. Jego ideał męża, adwokat Józef („Błyszczące nędze“) wygłasza te same przekonania o małżeństwie, za których pomocą pani Orzeszkowej mecenas Witold („Wesoła teoria i smutna praktyka“) usiłuje odwrócić nieszczęście od swego przyjaciela Władysława.

Bałucki nie zna, tak samo jak Orzeszkowa, wojowników, proroków, poetów, publicystów, mówców natchnionych, uczonych, pracujących tylko dla nauki, nie wygłasza nawet hymnu na cześć wiedzy, która „ma zbawić ludzkość“. Jemu wystarcza „to światło, którego ciekawi szukają... w ziemi i na ziemi“. Stoi on pod tym względem niżej od p. Orzeszkowej od entuzjastki pozytywizmu, że ją tak nazwiemy. Powieściopisarka litewska jest mimo całej swej „trzeźwości“ doktrynerką, może potrosze i marzycielką („Meir Ezołowicz“), p. Bałucki zaś nie odstępował ani na krok od programu pozytywno-liberalnego. Dobrobyt — to jego ideał. Jak p. Orzeszkowa i p. Jeż, nie pominął i p. Bałucki sprawy żydowskiej („Żydówka“) i zajął w niej odmienne własne stanowisko.

Regina jest córką karczmarza galicyjskiego, który upaja chłopów i oszukuje szlachtę. W miarę, jak się skutkiem tej jego działalności, jego kieszeń napęcznie, wypróżniają się oczywiście trzosa „gojów“. Nic dziwnego, że żyd zajmuje po jakimś czasie pozycję opuszczone przez „edomitów“.

Ojciec Reginy ma w Warszawie krewnego, milionera, izraelitę cywilizowanego, nie gardzącego obyczajami i przyzwyczajeniami chrześcijan. Bankier mówi po polsku, ubiera się we frak, chodzi do teatru, jada dużo i dobrze, nie pytając czy potrawa kosztowna albo trefna, słowem jest t. zw. żydem „bez przesądów“. Ludzie nie wiedzą nawet, zapewnia p. Bałucki, że Goldberg należy do narodu wybranego. Milioner — to dosyć. Taki potentat nie potrzebuje narodowości, religii, drzewa genealogicznego. Wszystkie te dodatki zastępują mu pieniądze.

Do tego krewniaka udaje się Regina na wychowanie. Sybarycie podoba się miła, zdolna dziewczynka, przywiązuje się więc do niej i otacza ją zbyt kłami. Rozpieszczona dostatkami i oglądana przez nauczycieli, wyrasta brudna żydóweczka na urodziwą i „inteligentną“ pannę, która nie może mieć nic wspólnego z fanatyzmem i głupotą swej rodziny galicyjskiej. Zamiast talmudu, czyta Regina Szylle- ra i Szekspira, zamiast w bóżnicy, modli się w teatrze, w „świętyni sztuki“.

Zachwycona świetną grą Juliusza, szlachcica, który dla miłości aktorki poszedł między „komedyanty“, rozmiłowywała się Regina w słynnym tragiku. Wirtuoz teatralny odplaca jej wzajemnością, bo nie wie, że czarnooka dziewczyna jest żydówką. Dowiedziawszy się o tym grzechu pierworodnym bankierówny, zrywa z nią na rozkaz swej matki, chociaż Regina chce przejść na łono kościoła katolickiego.

— O chrześcijanie! okropnieście się obeszlisi z sercem żydówki, — skarży się Regina — nie ma już między nami nic wspólnego.

Powieść tę Bałuckiego można postawić obok „dyplomazji szlacheckiej“ Jeża, jako odwrotną stronę medalu. Twórca Chany wydał ordynaryjną chałaciarkę za hrabię, autor Reginy odmówił izraelitce wykształconej i szlachetnej, ręki aktora. Przesadzili obydwaj — każdy w innym kierunku.

Juliusz zna Reginę z Warszawy, gdzie występował w teatrze, a nie wie że jest żydówką. Wolno wątpić czy to

możliwe. W „grodzie syrenim“ trudno ukryć się z pochodzeniem, gdy się stoi na jakimkolwiek „świeczniku“ a miliony nie pozwalają przecież zginąć w tłumie. Pierwszy lepszy ulicznik warszawski poda dokładną genealogię każdego bankiera, zwłaszcza, gdy ten nosi na sobie piętno izraela: oblicze i charakterystyczne ruchy semickie, których nie zacierają ani łagodzą: fraki, białe krawaty, powozy i t. d. Kupiony herb nie daje „miny i czupryny“.

Przeto należy się dziwić, że Juliusz nie wyczytał z rysów bankiera i jego synowicy rasy właściwej, tem więcej, że jako aktor powinien był umieć odróżnić charakterystyczną fizioznomię wschodnią od typów twarzy północy. Nieznajomości tej potrzebował więc Bałucki do wykazania, jak „okrutnymi bywają chrześcijanie“.

I Teodor Tomasz Jeż ubrał swoją Chanę w czapkę arlekina, aby nikczemność szlachty jaknajjaskrawiej wystąpiła.

Chrześcianie są okrutnymi dla żydówek? Ależ ten pan Bałucki żyje chyba na księżycu, kiedy nie wie, co się w Polsce dzieje. Pierwsze nazwiska w kraju wciskają się między finanse, a taki „liczy“ komedyant odtrąca Reginę, nie tylko bogatą, ale w dodatku jeszcze czystą na wskroś dziewczynę?

Można rozumieć panią Orzeszkową, która pragnie natchnąć poczuciem obywatelstwa milion obcych dotąd krajowi ludzi; można wytłumaczyć piąm *desiderium* Jeża, gdy marzy o uszlachetnieniu żydów przez miłość, lecz trudno domyśleć się drogi, jaką p. Bałucki doszedł do swoich wniosków. Bo że jeden aktor, choćby fakt ten zgadzał się istotnie z prawdą, zdradził Reginę dla tego, że była żydówką, niedosć to jeszcze powodu do potępienia wszystkich chrześcijan. Taki Agaton np. naprawiłby chętnie błąd Juliusza, i dziwna, że tego nie uczynił, że zachowywał się biernie, zamiast zbliżyć się do porzuconej. I między katolikami, lutrami, anglikanami nie bywają sami wierni kochankowie, zdolni do ofiar i zaparcia się swych osobistych sympatii i antypatii, a mimo to nie uciekają dziewczęta od młodzieńców rozsądniejszych i lepszych. Jeden zawód niekoniecznie przecież musi łamać ludzi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NA POSTERUNKU.

List i wycyzynek mojej inwencji kronikarskiej. — Wrzawa z powodu zmiany w „Kuryerach“. — Gdzie jej źródło? — Dwie odpowiedzi. — Znaleliśmy! — Kłka i jej gniazda. — Co robiła i w jakich celach? — Czego chce teraz? — Konkurencja niewidziana dotychczas w prasie polskiej. — Podrabianie etykiet. — Czego się spodziewać można od Szmulów z Nalewek? — Spółka, eksploatacja i sprzedaż „Kuryera Warszawskiego“. — Wydawcy z „Codziennego“. — Złoto jako symbol zazdrości. — Co mnie obchodzi i o czem winna wiedzieć publiczność.

Redaktor wręczył mi list, który, ze względu zarówno na jego treść jak formę, mogę żywcem pomieścić, rad że choć na ten jeden raz dać mogę wycyzynek kronikarskiej inwencji mojej.

List ten brzmi:

„W ostatnich tygodniach wrzało i kipiało w dziennikarsko-literackim świecie Warszawy, jak w kotle, do którego furze wspanyły wszystkie namiętności ludzkie. „Bracia po piórze“ rozdzielili się na dwa wielkie... obozy, dysputując z sobą z zacietością posłów węgierskich.

W łonie prasy warszawskiej działo się coś niezwyklego, niesłychanego, coś, czego się nigdy nie spodziewano...

Czy wytworzyło się jakieś nowe stronnictwo, czy zabłysnął jaki nowy talent, lepsze, jaśniejsze wytykający drogi?

Takby się zdawało, sądząc po wrzawie jaka powstała w mieście, po zajeciu, z jakim sfery, pozostające z prasą w stosunkach bliższych, śledziły przebieg „sprawy“.

Jakaż to była ta sprawa?

Oto po śmierci s. p. Wacława Szymanowskiego, redaktora i współwydawcy „Kuryera Warszawskiego“, skupili spadkobiercy nieboszczyka udzieliły reszty właścicieli (głównie panów Gebethnera i Wolffa) i rozgościli się sami w domu, wystawionym przez męża ich i ojca. Manipulacja ta odbyła się w drodze polubownej, za zgodą obu stron, bez procesów i awantur, jak przystało na ludzi przyzwoitych, P. p. Gebethner i Wolff wzięli pieniądze, których sami zażądali, a spadkobiercy s. p. Szymanowskiego ostali się przy „Kuryerze“.

Wypadki takie zdarzają się codziennie i nikomu nie przychodzi na myśl dziwić się im, trudno bowiem żądać, aby

sympaty i antypaty osobiste spadkodawców przechodziły na spadkobierców. Ojcowie kochali się—synowie nie czują do siebie afektów gorących... cóż w tem zdrożnego?

W każdym innym ognisku prasy krajowej zadowolono by się zapisaniem podobnego faktu w rubryce wiadomości miejscowych. Czy bowiem pismo wydaje p. X. lub p. Y., rzecz to zupełnie obojętna, byleby je redaktor w dawnym prowadził kierunku, nie odstępując od tradycji swego poprzednika. Przejście zresztą własności dziennika w inne ręce jest gdzieindziej wypadkiem tak niewielkiej wagi, że nie przekracza granic sfer bezpośrednio interesowanych.

U nas jednak stało się inaczej. U nas wydęto sprzedaż „Kuryera Warszawskiego“ do rozmiarów „evenement'u“, u nas zajmowało się tą sprawą kilkuset, ba, może kilkadziesiąt tysięcy ludzi, — u nas wrzało i kipiało, jak w przededniu przewrótów społecznych. Znakomita większość prasy była w ruchu, biegła, dysputowała, brała to tę, to ową stronę, roznamiętniała się nawet — szumiała.

Zkąd ta dziwna walka? Zkąd ta wrzawa naokoło pisma brukowego, choćby ono liczyło setki tysięcy czytelników?

Połowy odpowiedzi na to pytanie należy szukać w naszych, czysto miejscowych, specjalnych warunkach. Odwykliśmy od spraw prawdziwie wielkich i poważnych — życie nasze publiczne zużywa się się na małostki, prysło już nawet na drobiazgi, stargało się na strzępy: zmaleliśmy niesłychanie. Lada artykułik gazetiarzski zajmuje nas, rozpala, pobudza do wysiłków; lepsza lub gorsza gra miernej aktorki, pospolita jednoaktówka, występ skrzypka, śpiewaczki, słowem, lada drobiazgi pochłania nas.

Druga połowa odpowiedzi na pytanie powyższe tkwi w stosunkach wewnętrznych prasy warszawskiej.

Istniała w Warszawie przez wiele lat t. zw. klika dziennikarska, składająca się z kilkunastu ludzi którym się uwidziało, że mają prawo do rządzenia, do rozstrzygnięcia wszystkich spraw społecznych. Klika ta rozgościła się głównie w trzech gazetach, trzymając się silnie za ręce. Panom tym nie szło ani o przeprowadzenie pewnych zasad, bo rekrutowali się z rozmaitych „stronnictw“, głównie zaś z oportunistycznego, ani o zbiorową pracę publiczną, bo robili bardzo mało, lecz jedynie o wpływy, o posady w redakcyach i instytucyach bankierskich — o tanią wreszcie sławę. W znacznej części dziennikarze miernych zdolności, autorowie karmelkowi, krytycy bez talentu, sprytni reporterzy, nie lubiący trudów i grosza ciężko zarobionego, zbili się „klikarze“ w zwarty zastęp, idąc zawsze łąką, gdy szło o korzyści jednego z nich.

Zręczni, podążający gdzie nie mogli podejść, kłaniający się, intrygujący, gdzie zabrakło zdolności, zawładnęli „klikarze“ teatrem, muzyką, krytyką bieżącą, wcisnęli się wszędzie, obrabiając wszędzie swoje jedynie interesa.

Kogo raczyli zauważyć, ten stawał się na bruku warszawskim rozgłosnym.

Najmierniejszego gazetiarza, redagującego za pomocą nożyczek, autora lichych komedij, płytkiego reportera, mdłego noweliste mianowali znakomitością! Znali się oni wybornie z jejmością reklamą i posługiwali się jej trąbą bezustannie. Aktor, który nie zasłużył na ich względy, padał na scenie, aktorka nielubiana przez nich, ginęła w półcieniach zapomnienia, autora, kompozytora, publicystę, który śmiał być innego od nich zdania, „karali“ systematycznym milczeniem.

Opanowawszy najpoczytniejsze organa bądź bezpośrednio, osobiście, bądź pośrednio przez stosunki i stosunek, nie dopuszczali nikogo do głosu. Kogo nie dało się wziąć przemocą, tego ugłaskano pochlebstwem, usidlono miodowymi słówkami obłudnej przyjaźni.

Admajorem glorią kliki urządzali sobie panowie ci od czasu do czasu konkurs dramatyczny, lub inny. Co postanowili musiało być święte, nieomyślne. Upodobali sobie np. niewiadomo z jakich powodów słabe dramidło pierwszego z brzegu nowicyusza, więc ogłosili je arcydziełem, i nie odstąpili od swego zdania, choć nawet dyletanci zmiarkowali, że augurowie strzelili „grubego bąka“. Bo od orzeczenia kliki nie ma apelacji!..

W każdym innym kraju uniemożliwiliby się raz na zawsze sędziowie konkursowi, którzy dali tak jaskrawy dowód zupełnego braku poczucia choćby tylko piękna, ale u nas nie było na to rady. Gdzież wykazać nieudolność sędziów, kiedy panowali w organach najpoczytniejszych? Oni przemawiali do setek tysięcy, a oponenci do szczupłej tylko garstki czytelników. Głos prawdy zahuczano, lub zdławiono milczeniem.

Zestosunkowani z jednej strony przez „Słowo“ z ary-

stokracyą, a z drugiej — przez „Gazetę Polską“ i „naszych zięciów“ z finansami, wtargnęli „klikarze“ do salonów bogaczy i raczyli się przy stołach możnych. Podczas kiedy inni gorzknieją złamani ogólnymi smutkami i zdeptani nadmiarem trudu, — „klikarze“ bawią się świetnie, opływając w różne tej ziemi „marności“.

Zato nie odmawiało się, gdy zaszła potrzeba, wysokim protektorem i hojnym fundatorem, rozmaitych przysług. Zbogaconego np. bankiera skoligacono bodaj czy nie z królami polskimi, słabości i słabostki wielkich maskowano dyskretnie, a konserwatyzm przystrzyżono w ten sposób, że latał każdą dziurę.

I było wszystko dobrze na tym, dla kliki, najlepszym ze światów. Mali i mizerni moralnie stali się wielkimi, sprytni utalentowanymi, zdolni genialnymi.

Wtem rozchodzi się wieść, że spadkobiercy s. p. Wacława Szymanowskiego chcą być bezpodzielnymi właścicielami „Kuryera Warszawskiego“, że miejsce po zmarłym zajmie jego zięć, p. Franciszek Olszewski, młody, wykształcony publicysta i ruchliwy dziennikarz.

Gwałtu! To być nie może, być nie powinno. Klika nie dopuści do tej zmiany; ona poruszy niebo i ziemię, aby pozostało status quo ante.

Wprawdzie, nie należał s. p. Wacław Szymanowski bezpośrednio do kliki, zajmując własne, samodzielne stanowisko, lecz w sztabie „Kuryera Warszawskiego“ posiadał „gronko“ swoich przyjaciół, którzy służyli jego interesom. Ci przyjaciele wyjdą zapewne z redakcyi z chwilą wejścia do niej nowego rządu, i klika — straci organ najpopularniejszy w kraju. Cios ten trzeba koniecznie i stanowczo odwrócić.

I zrobił się ruch w „konserwatywnej“ prasie warszawskiej, ruch tak niesłychany, jak gdyby się jej wielka działa krzywda. Niby to coś tak bardzo dziwnego, że dzieci literata i dziennikarza, przywiązawszy się do spuścizny swego rodzica, nie chcą jej nikomu odstąpić, choćby z narażeniem się na straty materyalne. Uczucia takie trzeba uszanować.

Ale klika nie troszczy się o cudze uczucia i pojęcia; ona zna tylko swoje interesy, a te zachwieją się niezawodnie przez stratę „Kuryera“. Więc dalejże agitować, pracować nogami i stugębną famą, rozdmuchiwać isierkę w płomień! Niech przepadną wydawcy, bylebyśmy się my ostali.

Oto, zdaje się, drugi powód rozgłosu, jaki nadano na bruku warszawskim niewinnej zkadinał sprawie sprzedaży dziennika. Rozgrywały się w tym razie losy kilkunastu ludzi małych, a żądnych wielkiej sławy, niezapracowanych wpływów i łatwych honoraryów. Oni to, broniąc swych „stanowisk“, narobili takiej wrzawy.

Usiłowania jednak wszelkie nie przydały się na nic. „Kuryer Warszawski“ przeszedł w ręce rodziny Szymanowskich, która splaciła resztę dawnych właścicieli.

Skonsternowana na razie, klika odzyskała po krótkim osłupieniu, właściwą sprytowiczom sprężystość. Zgromadziwszy się około firmy pp. Gebethnera i Wolffa, postanowiła wypłynąć znów na wierzch.

I oto mamy obecnie widowisko obrażające poczucie moralności, — widowisko nieznanego dotąd u nas konkurencyi wydawniczej. Że fabrykanci szuwaksu, karmelków i t. p. wyrobów naśladowają cudze pomysły, podrabiając nawet etykietę, rzecz wiadoma powszechnie. Ale czynu takiego dopuszczają się Szlomy i Abramki z Nalewek, i nikt nie powie, że by dobrze robili. Zeby jednak jedno czasopismo podrabiało, naśladowało, w najdrobniejszych nawet rubryczkach, drugie, jak to praktykuje od tygodnia przeszło „Kuryer Codzienny“, tego jeszcze nie bywało. Pierwszy to w prasie warszawskiej fakt tego rodzaju, pierwszy przykład jawnego zastosowania niemoralności handlarskiej w dziennikarstwie. Ukrywała się ona bardzo długo wstydliwie za parawanem t. zw. zasad, przekonani, programatów. Zaciekłość konkurencyi wypchnęła ją z po za kulis. Braknie tylko tego, aby wydawcy biegali po ulicach za prenumeratorami i wciągali ich do swoich sklepików bibulanych, ciągnąc za poły surdutów i wołając chodź pan!

Żadnych, doprawdy, doczekaliśmy czasów...

Byłym współwydawcom „Kuryera Warszawskiego“ stała się niby wielka krzywda: wnieśli „do interesu“ podobno parę tysięcy rubli, a wydobyli z niego, w ciągu lat kilkunastu, z górą parę kroć i odprzedali wreszcie swój udział za blisko 100,000 rs. Oniż to pracowali? Pociłi się za nich: autorowie, publicyści, dziennikarze, znosił grosz do ich szkatuły kraj cały, a oni — aż tak „konkurują“! Złoto jest żółte, jak zazdrość, nie może znieść cudzego powodzenia!

Lecz może dzisiejsi wydawcy „Codziennego“ dowiedzą

się niebawem, że poważanie firmy jest więcej warte od złota, a wtedy nie podziękują zapewne owym „sprytnym” doradcom, którzy pchają ich, w swych celach osobistych, na drogę tak.. dziwnej i niepraktykowanej dotychczas konkurencji.“

Tak brzmi list, czy tam „artykuł nadesłany“, którego zgodność z oryginałem poświadczam — poświadczając zarazem i p r a w d z i w o ś ć zawartych w nim faktów. Co to, jednak, gotowicie zapytać, obchodzić nas może? Co obchodzić mogą publiczność wewnętrzne spory dziennikarzy — spory, kłótnie i konkurencje tych lub owych wydawców? Racya—i nas także nie obchodzi to wszystko. Ani o interesa wydawców „Warszawskiego“, ani o interesa wydawców „Codziennego“ nie idzie nam wcale. Są one dla nas najkategoryczniej obojętne i obce. Obchodzi nas w tej chwili zupełnie co innego. Chcemy aby publiczność, z której grosza żyje cały nasz... swiatek wydawniczy, wiedziała komu i na co grosz ten składa. Tak — publiczność powinna znać bliżej te stosunki; powinna wiedzieć — gdzie są i tutaj, a nawet tutaj n a d e w s z y s t k o, ludzie czystej pracy i zasad, a gdzie zwykli sprzedawcy drukowanej bibuły. Obchodzi nas wreszcie i obchodzi bardzo poczucie m o r a l n o ś c i d z i e n n i k a r s k i e j, której, bądź co bądź, do reszty przynajmniej zatracać nam niewolno. Tak mi się zdaje—a zresztą, sądzicie, jak wam się podoba.

Kamienny.

Z CAŁEGO SWIATA.

Licytacja klejnotów koronnych francuzkich.—Orleanowie i p. M. z Warszawy.—Nasz tiers-état.—Sądowictwo francuzkie.—Nowy dziennik paryzki p. t.: „Wypędzenie żydów“. — Nieszczęśliwy los melinitu francuzkiego. — Kłopot amerykański. — „Norddajczerk“ i wykret niemiecki. — Manipulacje Boulangera z armią francuzką.—Anglia w Afganistanie.

Zdaje się że najzaciętszy demokratą splunąłby na widok potomka wielkiego rodu wystawiającego na licytację przodków swoich portrety; że panna Ludwika Michel zmyślałaby ex-arystokratę, frymarczącego pamiątkami wielkich czynów swoich antenatów... Tymczasem w tej chwili odbywa się w Paryżu licytacja klejnotów koronnych, a nikt jeszcze republice francuzkiej nie nawymyślał ani w oczy nie napluł.

Jedni książęta Orleańscy poczuli się podobno do roli spadkobierców wielkości Francji i klejnoty zakupić postanowili. I kto wie, czy by im się ten zamiar nie był udał, gdyby... gdyby nie jakiś p. M., przemysłowiec warszawski, który pojechał do Paryża, także klejnoty koronne kupować, a nawet kupił już podobno jeden, jak donosi jeden z „Kuryerów“ (który? nie powiem, nie chcąc w drugim budzić zazdrości, a tem samem psuć koleżeńską harmonii i miłości między niemi). Słychać, że na wiadomość o tem wszyscy Orleanowie, jeden w drugiego, o mało trupem nie padli; według jednej wersji dawali panu M. grube odczepne, według innej ofiarowali mu tekę prezesa ministrów, jak tylko który z nich usiędzie na tronie francuzkim. Ale p. M. jak się uparł, tak nie i nie. — „A jak jabym się — powiada — mojej żonie w Warszawie bez gościenca z Paryża pokazał?... A potem niech francuzi znają, co to przemysłowiec warszawski!...“ Brawo, brawo! demokratą warszawski; gdyby mógł w tej chwili sięgnąć do Paryża, dałbym ci buzi, ty ciękawy egzemplarz naszego młodego tiers-état!...

Skoro się rzekło, bał nawet napisało, więc cofać je już nie rychło; ale gdybym się był głębiej trochę zastanowił, nie byłbym tak porywczo rzucił kamieniem potępienia na republikę francuzką. Przyznać trzeba, że ona posiada przecie instytucje godne najwyższego uznania, wprawdzie nie ze strony obojej płci, ale ze strony płci pięknej, — a czy to nie dosyć?... Myślę tutaj o instytucjach sądowych francuzkich, które świeżo złożyły praktyczny egzamin m a t u r i t a t i s. Trybunał w Aix skazał hrabiego Chanabrun na zapłacenie wszystkich długów porobionych przez żonę u modniarek, orzekając kategorycznie, że wszelaki mąż obowiązany jest do tego, choćby tak jak hr. Chanabrun ogłosił, iż żadnych długów za żonę nie płaci. Niech żyją sądy republikańskie! prawda piękne panie?... Ja sam pisałbym się na nie — naturalnie, gdybym żony nie miał.

Są w tej Francji i inne jeszcze dobre rzeczy, oprócz sądów, — tylko te już nie są zasługą rządu republikańskiego, który jest, jak wiadomo z Drumonta, na wskroś izraelskim. Oto ukazał się tam świeżo dziennik pod tytułem „Wypędzenie żydów“ („L'Expulsion des Juifs“); dla określenia zaś bliżej jego celu, pozwolę sobie tutaj podać przekład jednego ustępu z artykułu programowego:

„Rewolucya francuzka, ta wielka niwelatorka, postrącawszy królów i panów, dźwignęła żyda z głębi błotnistych, w których gnił od tak dawna. Była dla niego niby matką dobrą i miłościwą, obsypującą pieśzcotami dziecko, które najwięcej w życiu ucierpiało. Obludny Judasz oddawał jej pocałunki, ale złośliwe jego i krwią zakażone wargi otwarły się niebawem: Judasz ukąsił matkę; Judasz wyparł się braci swoich, przesładowanych; Judasz pozostał Judaszem...“

„Za słaby — czytamy dalej — liczebnie aby się chwycić systemu eksterminacyjnego, udoskonalił system podstępów i grabieży, którego używał dotąd na swoją obronę. W niewiele lat potem wielka klęska, Waterloo, nadała sankcję jego wszechwładzy finansowej. Nietylko ludy ale królowie musieli ukorzyć się przed majestatem nowego boga, — Miliarda!

„A majestat ten, w wieku, w którym tyle innych majestatów pobladło, zachował cały swój blask nietknięty...“

„Ale chociaż czoła tarzają się w prochu, chociaż zaledwie kilka głosów ośmiela się bluźnić w twarz nowożytnemu bóstwu, ród obrzezany nie zaniedbał żadnej ostrożności aby stłumić wszelką zachciankę buntu. Przypiął się, niby chciwa krwi pijawka, do wszystkich organów ciała społecznego Francji. Sądowictwo, policję, advokaturę, prasę, urzędy publiczne, słowem wszystko ogarnął, wytrzebił, przyprowadził do stanu zgnilizny!

„Jeżeli nie chcemy zginąć w hańbiących uściskach tej sekty ohydnej, czas już abyśmy się otrząsnęli z naszego odrętwienia, czas abyśmy, dzieci Francji, wydali okrzyk rokoszowy naszych ojców. Okrzyk ten nie będzie już dzisiaj brzmiał: „Śmierć żydom“ ale: „Za drzwiami z żydami! Do granicy z nimi!“

„Okrzyku tego nie przestaniemy wydawać, i będziemy krzyczeli tak głośno, że nawet ludzie małego serca, podniosą uareszcie głowy i przyłączą się do naszego chóru.“

„Imię nasze milion — ucisnionych i wysysanych przez bandę nikczemną. Głos nasz musi być wysłuchany!...“

Czytając środek tego ustępu, mimowoli przechodzi ochota zawołać: *moj Boże! tout comme chez nous!*

Już to, prawdę mówiąc, my nie pływamy po same uszy w szczęśliwości, ale i tej Francji się nie wiecie. Nie dość że ją nekają republikanie wszystkich odcieni, począwszy od błado różowego aż do czarnego; nie dosyć że ją obrabiają żydzi, ale jeszcze oporzędają ją w dodatku i — wynalazcy. Ow melinit, ów sławny materyał wybuchowy, który całe Niemcy miał za jednym zamachem wysadzić w powietrze, zrobił brzydkie fiasco. „Feler“ jego odkrył.. no, któżby inny, tylko Niemiec, jakiś Dr. Scheibler, który wykazał, że wchodząca w skład jego bawełna strzelnicza, z czasem zamienia się... w cukier! Tak więc to, co miało skały kruszyć i ziemię z posad wyrzucać, przyda się chyba — do słodzenia kawy lub herbaty, a lubo sam Dr. Scheibler nie chciałby zapewne spijać nektaru tym cukrem zaprawnego, to jednak zawsze 50 milionów, które melinit Francye kosztował, jak gdyby w błoto wrzucił...

A no, mają i amerykanie swój kłopot. Pani prezydentowa Clewelandowa lada chwilę spodziewa się potomka; że zaś „Dom biały“ w Waszyngtonie jak jest „domem białym“, tak nigdy jeszcze nie był nawiedzony takim wypadkiem, więc władze Stanów Zjednoczonych w niezmiernym są ambarasie, jaką wobec niego przybrać postawę: czy w noworodku uczcić syna prezydenta, czy poprostu ignorować go jako zwyczajnego Clewelandowicza... Logiczną zdaje się być druga alternatywa, ale kto wie jak to jeszcze będzie. Władza, choćby chwilowa, ma, bądź co bądź, taki urok w oczach ludzkich, że wobec niego milkną nawet prawa logiki.

I „Nord. allg. Ztg.“ umilkła nareszcie, przynajmniej chwilowo, z polemiką swoją przeciwko hr. Andrassemu w szczególności, a właściwie przeciw Austrii. Kto dużo gada, ten się zwykle przegada i powie w końcu coś... nierozumnego. Tak się też i organowi kanclerskiemu udało. Pewnego dnia pięknego palnął taką impertynencją dla Austrii, że nawet cierpliwe i potulne półurzędowce wiedeńskie ścierpieć tego nie mogły i wybuchnęły oburzeniem. „Norddajczerk“ oświadczyła, ni mniej ni więcej, tylko że dla Niemiec losy Bośni i Hercegowiny są obojętne. Trzeba było jakoś tę... nieuwagę naprawić; postanowiono więc uczynić to za pomocą korespondencji, noszącej charakter komunikatu, a przesłanej do wysoce półurzędowego wiedeńskiego „Fremdenblatu“. Obrócono w ten sposób, że Bośnia i Hercegowina nie obchodziły Niemiec wtedy, kiedy jeszcze nie były w posiadaniu austriackim, ale teraz i owszem, a jakże!... Kto ma ochotę żeby mu wyperswadowano, ten da sobie wyperswadować łatwo; więc też i ten śmieszny wykret przyjęto

w Wiedniu za dobrą monetę; rankor jednak i nieufność wewnątrz pozostać musiały.

Ten nieszczęsny Boulanger jest ciągle niemcom solą w oku. Jakby się uwziął, nieustannie coś majstruje z tą armią francuską; włóczy się sam po nocach, każe się niespodzianie wojskom ambarkować na kolej żelazną, a potem znowu zaraz wysiadać, dla przekonania się o ile w tych manewrach są wyćwiczone. Teraz znów wniósł na porządek dzienny próbę uruchomienia jednego korpusu. Uruchomienie jeden korpus, to niby nic, nie może to grozić zamachem pokoju powszechnego; ale cóż, kiedy ten nieznośny Boulanger tak tę rzecz urządził, że do ostatniej chwili nie będzie wiadomo, który korpus będzie uruchomiony, wszystkie więc trzymać się będą w ciągłym pogotowiu, czyli, co na jedno wyjdzie, że cała armia francuska przybierze na jakiś czas taką postawę, jakby była w przededniu mobilizacji. Oczywiście że Niemcy kręcą nosem na to.

Anglia dała, zdaje się, już za wygraną z Afganistanem. Komisja graniczna angielsko-rossyjska, obradująca w Petersburgu, rozeszła się bez rezultatu; dni panowania Abdurrachmana chana, emira z ramienia angielskiego, są już prawdopodobnie policzone; Anglicy podtrzymują go zbrojnie nie myślą, a dzienniki angielskie dowodzą w najlepszej, że Afganistan był dla Anglii tylko przeszkodą w obronie Indyj, gdyż siły jej za daleko od podstawy operacyjnej, którą jest właściwie granica indyjska, odciągał. Jaka też to wiecznie prawdziwa jest ta przypowieść o lisie i zielonych winogronach!...

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.



Ś. p. Mikołaj Zyblikiewicz. Galicya straciła jednego z najdzielniejszych mężów — człowieka wielkiej inicjatywy, wielkich zasług obywatelskich i olbrzymiej pracy. W dniu 16 b. m., o godzinie 9 tej wieczorem, zmarł w Krakowie ś. p. Mikołaj Zyblikiewicz, b. marszałek Galicyi, członek austriackiej izby panów i członek trybunału państwowego. Zmarły liczył zaledwie 62 lat życia, a jakim było to życie, ile i jakiej zawarło w sobie treści — wiedzą chyba wszyscy. Syn ubogiej rodziny mieszczańskiej, potrafił siłą woli i pracy wznieść się na jedną z najwybitniejszych pozycji w społeczeństwie swoim i stać się, w wielu razach, wzorem mężów działających na niwie publicznej. Dwadzieścia pięć lat na niwie tej pracy — to najwymowniejsze świadectwo, czem dla Galicyi był ś. p. Zyblikiewicz i jak ciężką ponosi ona stratę. Oświata ludu, reforma szkół, rozbudzenie ruchu i życia na polu przemysłowym, polepszenie w ogóle ekonomicznych stosunków galicyjskich — oto cały szereg czynów z których Zyblikiewicz zbudował sobie najwspanialszy a niespożyty pomnik.

Wkrótce na innym miejscu, poświęcimy zmarłemu obszerniejsze wspomnienie; w tej chwili cisną się jedynie pod pióro słowa szczerego, głębokiego żalu i słowa, które wymawiają dziś usta wszystkich ludzi umiających cenić cnotę i zasługę: Cześć pamięci człowieka i obywatela, który bodajby w tych czasach panowania małości i miernoty moralnej, jaknajwięcej mógł znaleźć naśladowców!

O banku włościańskim dla Królestwa Polskiego dzienniki podają następujące wiadomości: Pożyczki wydawane będą właściciom polskiego, rossyjskiego i litewskiego pochodzenia, osobicie zajmującym się rolnictwem. Niepracujący na roli oraz żydzi i Niemcy wykluczeni. Nie można nabywać przy pomocy banku gruntów nadanych przez ukaz 1864-go r., ani też obciążonych serwitutami, chyba że nabywcami są ci, którym serwitut służy, albo też gdy serwitut jest nieznaczny.

Pożyczki udzielają się według specjalnego szacunku gruntów do kupna przeznaczonych, przyczem 75% szacunku wypłaca się gotowizną z funduszy bankowych, zaś 25% z kapitału użyteczności publicznej. Pożyczka bankowa musi być ubezpieczoną na pierwszym numerze hipoteki; na dalszych numerach może zostać tylko reszta szacunku. Ziemia, kupiona przy pomocy banku, ulega takim samym ograniczeniom przy przy alienacji, jak nadana przez ukaz 1864-go r.

Pożyczki amortyzują się w ciągu lat 24 1/2 po 8 1/2%, albo w ciągu lat 34 1/2 po 7 1/2%. Pożyczka bankowa i reszta szacunku ma przywilej przed należnościami skarbowymi. Członków honorowych do zasiadania w zarządzie filij bankowych wybiera komisja włościańska. Fundusz użyteczności publicznej będzie zawsze na oddzielnym rachunku ksiąg bankowych.

Zacofany romantyk. O zacnem i pełnem szlachetnej godności znalezieniu się kapłana katolickiego donosi „Biesiada lite-

racka“. Hr. L. właściciel majątku z nad granicy Karlandyi, potomek polskiego rodu, był jako konkurent w pewnym dworku szlacheckim, leżącym ponad Niemnem. Naraz hrabia zrywa stosunki i żeni się w Warszawie „z córką rodziny wykąpanej w błocie“, żeni się z panną brzydką jak noc w porównaniu z nadniemieńskim dziewczęciem, ale bogatą, bardzo bogatą... bankierówną, powiększając długi już i tak szereg słynnych „naszych zięciów“.

Sąsiedzi na zdradę tę przymknęli oczy i zaproszenie do pałacu przyjęli; każdy uśmiechnął się, sarknął, wstrząsł się ze wstrętem, ale w końcu zajął miejsce przy lukullusowym stole. Jeden tylko znalazł się wstecznik, który zaproszeniu odmówił a był nim proboszcz miejscowy; widział on i czuł krzywdę jaką wyrządził hrabia zacnej rodzinie, nie mógł więc pójść za przykładem owych jego „sąsiadów“ i na występki patrzeć obojętnie.

Hrabia chcąc sobie ująć plebana, ofiarował mu bogaty ornat i złotą tabakierkę — kapłan ornat przyjął, ale tabakierkę odesłał — „Ofiary dla kościoła ubożniejszego nie odrzucam — tłumaczył się hrabiemu — ale ja tego ornatu używać nie będę; wolę mój stary bo wiem, że szyły go zacne i pobożne ręce“.

Hrabia oburzony zerwał z czcigodnym proboszczem, nazywając go *z a c o f a n y m r o m a n t y k i e m*. Niechże taki romantyzm — powtórzmy i my za kolegą naszym po piórze — przechowuje się jaknajdłużej pod strzechą plebanii; niechaj kapłani zastąpią nam poetów, co ogłuszeni i przelękli gonitwą ludzi za zyskiem, śpiewać przestali na nutę cnót dawnych.

Dobry początek. Kilka ledwie temu miesięcy jak, mimo wszelkich intryg pewnych... sfer interesowanych, uorganizowało się ostatecznie „Towarzystwo wywozu i oczyszczania spirytusu“, a już rezultaty działalności tego przedsiębiorstwa — za którym mówią nawiasem, *R o l a* przemawiała najdłużej i najgłośniej — można nazwać ze wszelkich miar korzystnymi i dowodzącymi wyraźnie, że sam pomysł był zdrowym. W tych dniach odbyło się właśnie w Warszawie posiedzenie członków Towarzystwa i przy tej sposobności dowiedzieliśmy się o następujących rezultatach praktycznych jego operacji prowadzonych pod kierunkiem dyrektora spółki p. Ksawerego Radziszewskiego.

Przedewszystkiem od Grudnia r. z. do chwili obecnej kapitał kaucyjny towarzystwa ze 163,000 rubli wzrósł do rs. 720,000. Co zaś do ilości gorzelnii pozostających w stosunkach z towarzystwem, to w pierwszym miesiącu było ich 48, w drugim było już 92, w trzecim 96, obecnie zaś jest 105 gorzelnii skontraktowanych, które za pośrednictwem towarzystwa wysłały 318,000 wiader okowity. Z tej ilości uregulowano dotychczas 200 transportów i rachunki przesłano właścicielom. Co się wreszcie dotyczy osiągniętych cen, to 4 transporty przyniosły właścicielom (l o c o) 70 kop.; — 96 transportów od 70 do 80 kop.; — 120 transportów od 80 do 90 kop.; — i 6 transportów wyżej nad 70 kop. za wiadro.

Dochody towarzystwa wynosiły rs. 14,000 wydatki 5,750; czystego przeto zysku osiągnięto rs. 8,250.

Jako punkt operacyjny i jako najpierwszy rynek handlu spirytusem towarzystwo wybrało Hamburg. Dodać należy, że na wspomnianem wyżej posiedzeniu, postanowiono na wniosek p. Okęckiego wprowadzić w wykonanie myśl wielce praktyczną, mianowicie zdecydowano otworzyć w Warszawie hurtowy skład spirytusu, któryby rozporządzał ilością jakich 120,000 wiader.

Jak przeto widzimy, mogą istnieć i u nas przedsiębiorstwa bez udziału pewnej kasty „specjalistów od wszelkiego handlu“ i mogą nawet z rąk tej kasty wytrącać — ułatwiający wyzysk producentów — *m o n o p o l*.

O banku ziemskim w Poznaniu nadchodzą wieści coraz bardziej pomyślne. Sami poznańscy spodziewają się zebrać na miejscu u siebie większą nierównie sumę, niż się pierwotnie zdawać mogło; dosięgnie ona bowiem miliona marek a przynajmniej niewiele do tej cyfry braknie. Dopiero bowiem ostatnimi czasy rozpoczęły się na dobre już zapisy w których biorą też udział i inne prowincje polskie.

Co do przyszłych operacji banku a zwłaszcza najważniejszej z nich: regulowania hipotek większych posiadłości ziemskich, postawiono sobie następujący program:

Pożyczki pieniężne właścicielom większym w żadnym razie udzielane nie będą. Formalne zaś regulowanie hipoteki tam, gdzie dla właściciela jest jeszcze jakaś szansa ratunku, odbywać się będzie w ten sposób, iż bank przejmie na siebie wszystkie długi z danego majątku, a następnie odkupi od właściciela część tegoż majątku, pozostawiając mu taką tylko ilość ziemi, przy jakiej, wedle swego stanu finansowego bezpiecznie będzie się mógł utrzymać. Nabyta zaś część majątku bank rozparceluje dopiero między chłopów, oficyalistów gospodarskich i t. d. na możliwie dogodnych dla nabywców warunkach. Obecnie rzecz cała polega na jaknajspieszniejszym i jaknajliczniejszym zapisywaniu się na akcje.

Przyjęcie następcy tronu austriackiego w Galicyi, arcyksięcia Rudolfa — jak donosi „Kuryer Warsz.“ — ma być „wapania-

łem". W Wieliczce odbędzie się wielki festyn, przyczem zaprezentują się rozmaite typy ludowe. We Lwowie odbędzie się w gmachu sejmowym raut a w ogrodzie miejskim festyn ludowy. W Tarnopolu urządzoną zostanie wystawa etnograficzna, tudzież festyn z przedstawieniem różnych kostiumów ludowych. Wreszcie ma być zaprezentowanym arecyksięciu rozwój obecnego galicyjskiego przemysłu domowego.

Z prasy. W Paryżu ukazał się nowy organ antisemicki p. t. „L'Expulsion des Juifs“ („Wypędzenie żydów“). Ważniejsze urywki z programu nowego czasopisma znajdują czytelnicy w numerze dzisiejszym w rubryce „Z całego świata“.

Z teatru i muzyki. Nakładem „Echa muzycznego i teatralnego“ wyszła z druku „Kolysanka“ — do śpiewu, utwór pani Ludmiły z Mikorskich Jeske-Choińskiej. Utwór ten, powitany nader sympatycznie przez krytykę świadczy dobrze zarówno o istotnym talencie autorki, jak i o jej poważniejszych a pracowitych na tem polu studiach.

Konkurs „Lutni“ warszawskiej na napisanie dla niej „hasła“ został już rozstrzygnięty. Nagrodę zdobył dyrektor Towarzystwa muzycznego p. Zygmunt Noskowski.

Pierwszy artysta teatru lwowskiego p. Roman Żelazowski, przybył do Warszawy i występuje gościnnie na tutejszej scenie.

Zamknięcie ofiar. Na warsztat dla biednego stolarza zebrało się wraz z ofiarą ogłoszoną w N-rze dzisiejszym rs. 50. Z sumy tej zakupionym został już warsztat stolarski za rs. 35, pozostała zaś kwota przeznaczamy na pomoc dla równie biednego rzemieślnika. Składając w imieniu rodziny rzeczywiście biednej serdeczne podziękowanie za dostarczenie jej środków do pracy, nadmieniamy zarazem, iż dalsze przyjmowanie ofiar na ten cel — z chwilą niniejszą — zamykamy.

Zmarli: Ś. p. Julian Re ch n i e w s k i b. redaktor „Dzien. Minist. Oświecenia“, autor prac o stosunkach włościańskich w Królestwie Polskiem, urodzony w Płocku 1824 r. — zm. w Libawie.

Ś. p. Karol Martini rzeźbiarz i sztukator — zm. w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kółku życzliwych w Warszawie. Za dowód pamięci wręczony nam łaskawie przez pp. P. i D. serdeczne ślemy dzięki; zachowamy to jako jedną z najmilszych nam pamiątek.

Pani E. P. w Radomsku. Dzięki stokrotne za pamięć; list wysłamy w tych dniach. Przeciążenie pracą niechaj nas tymczasem wytłumaczy.

Panu F. w Lublinie. Dziękujemy uprzejmie, jakkolwiek sprawy p. Tenenwurcla — tego samego p. Tenenwurcla, który nas w swoim czasie rejentalnie (!!) wzywał abyśmy nie dotykali jego „honoru“ (!!) nie pominielibyśmy w żadnym razie. Sprawozdanie też pańskie pomieścimy w streszczeniu, w numerze najbliższym; w tym — brak nam miejsca.

P. Ozwalińskiemu w Odessie. List sz. pana zakomunikowaliśmy, znanej z sumiennego wykonywania robót fabryce posadzek p. T w o r k o w s k i e g o (Czerniakowska Nr. 77), która żądane ceniki i wzory ma bezzwłocznie przesałać. Nr. 18 wysyłamy powtórnie.

P. Trojanowski w Aleksandrowie. Przepraszamy najmocniej; w samej rzeczy zaszła pomyłka; „Rola“ opłacona do 1 Lipca r. b.

Sz. ks. Łaz... przez Płońsk w Kryskach. Opłata za kwartał II-gi r. b. wniesioną została podwójnie, o czem p. Sękowskiego zawiadamiamy listownie.

P. W. Szan... w Przegal. — Owszem, użytkujemy — tym razem w innej formie. Idzie o wyświetlenie prawdy a zdemaskowanie fałszu i prywaty, — dowodów przeto zawiele być nie może. Dziękujemy uprzejmie.

Wstydzającemu się swego podpisu. Nie potrzebujemy ani „taić“ ani ogłaszać, gdyż od tego rodzaju „wiadomości“ są Kuryery; w każdym zaś razie uważamy za właściwe i — sprawiedliwe, z ogłaszaniem w takich razach nazwisk, czekać aż do ukończenia śledztwa. Takie właśnie postępowanie zaleca prosta uczciwość i gdybyś jej waćpan miał choć odrobinkę, nie nadsyłałbyś w „listach otwartych“ bezsensownych napaści.

OFIARY.

Na warsztat dla biednego stolarza.

Pan J. O. z gub. Irkuckiej rs. 3.

REKLAMY.

Wyciąg z „Gaulois“:

„Nie odkładaj nigdy do jutra tego, co możesz zrobić dzisiaj“ mowi stare przysłowie, które należy głównie powtarzać często zakatarzonym osobom.

Gdyby powyższa rada była ściśle wykonywaną, śmiertelność zmniejszyłaby się w krótkim czasie o trzecią część.

Wieleż i jak często spotykamy chorych kaszlących cały miesiąc, zanim zdecydują się leczyć; podają oni za powód podobnego postępowania wygórowane ceny lekarstw, przykry smak tychże, wreszcie inni utrzymują, że katar to nie choroba. Te trzy przyczyny dają się łatwo zbić następującymi argumentami:

Przedewszystkiem powszechnie znany środek i znajdujący się we wszystkich aptekach pod nazwą kapsulek Guyot'a, pozwala leczyć zakatarzenia, wydając za ledwie kilka kopiejek dziennie.

Następnie te białe kapsułki zażywają się z największą łatwością i nie mają żadnego smaku (w razie trudności w przełykaniu, można je zastąpić Pastą Regnaud'a). W końcu nikt z nas nie jest w stanie upewnić, że z kataru zaniehdanego nie wywiąże się zapalenie oskrzeli, lub suchoty, trzeba przeto leczyć katar w samym zarodku, bez żadnych skrupułów w ociąganiu się z kupnem lekarstwa. Kapsułki Guyot'a sprzedają się we wszystkich aptekach i są koloru białego, a podpis wynalazcy Guyot'a wyciśnięty jest na każdej kapsulce.

(33) 1—1

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próżnej, z osobnym oddziałem Stręczeń mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renowy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobdawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—1)

Fabryka i Skład Narzędzi Chirurgicznych i ostrych, stalowych, oraz Bandaży. F. BALUKIEWICZA. — Bielańska 9, Hotel Paryzki, w Warszawie. (26—1)

FABRYKA RĘKAWICZEK Bronisława Michalskiego. Ś-to Krzyzka Nr. 17. (4—2)

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

52 20

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-20
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży
I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

KAJETAN CHMURKOWSKI 12-1
SZEWC MEŻKI I DAMSKI
w Warszawie — Królewska 27.

Do sprzedania

Łubln niebieski — korzec wagi 260 funtów — rs. 5.50.
biały „ „ „ „ 4.50.
Koniczyna biała „ „ 250 „ „ 40.00.
loco stacya D. Ż. Iwangrodzko-Dąbrowskiej R a d o m .
Wiadomość u W go Taraszkiewicza w Radomiu ulica Skaryszewska dom p. Landau. (2—1)

Biszkopy, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.

Róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu.

NAJLEPSZA CZEKOLADA
FABRYKI PAROWEJ
J. S. ZTENGEL
w WARSZAWIE

Róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu.

(12—7)

Cukry desserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Specjalna Fabryka i Magazyn Bielizny Męskiej

A. KIERST i S-ki

5. Bielańska 5. (vis-a-vis Danitowiczowskiej),

poleca w wielkim wyborze:

Koszule męskie wykonywane podług najświeższych fasonów, od rs. 1.50—Kołnierzyki i Mankiety—wielki wybór Krawatów, Spinek i Szpilek najmodniejszych—Kalesony, Skarpetki jedwabne, fildecose i bawełniane bez szwu—Kaftaniki trykotowe wszelkich rodzajów—Chustki do nosa—Cachenez na szyję, jedwabne—Szelki, Łaski etc.

Wszelkie zamówienia wykonywają się starannie i spieszenie, po cenach najniższych.

GAZETA LEŚNA

dla Królestwa, Cesarstwa, Galicyi i ziem polskich pod rządem Pruskim. Generalny czyli jedyny organ w języku polskim wychodzić zaczyna w Poznaniu, dwa razy na miesiąc to jest 1 i 15 każdego m. w objętości 2—4 arkuszy druku. Prenumerata roczna w Królestwie i Cesarstwie 6 rs., w Galicyi zhr. 6, w Prusach na wszystkich pocztaach kwartalnie 2 mk. 50 fen. Program wydawnictwa jest: postęp, kultura, gospodarka, zwierzyna, sprzedaż i hodowla drzewa, przemysł drzewa, ułatwienie sprzedaży detalicznie i w całości, unormowanie cen podług prowincyi, gubernij i powiatów ze względów na komunikacyę, obrona właścicieli lasów od wyzyskujących kupców, dostarczanie pożyczek na lasy z umiarkowanymi procentami i t. d.

Wzywamy zatem wszystkich właścicieli lasów do prenumeraty, zarazem do wypełnienia urzędownie od nas drukowanego prospektu gatunków drzewa, ceny, komunikacyi i objętości. Prospekt ten ma nam posłużyć do unormowania całej gospodarki leśnej i zestawienia taryfy.

Redakcja i Administracja

Gazety Leśnej (8—1)

w Poznaniu, Półwiejska ulica Nr. 9a.

OCRODNICY (3—1)

wykwalifikowani, Ekonomii, Pisarze prowentowi, Kucharze, Lokaje, Gospodynie wiejskie, Panny służące, Pokojówki i inna służba. wszyscy w chlubne świadectwa zaopatrzeni, są do umieszczenia zaraz. Kantor Służących Łuczynskiego. Podwal N. 6, na dole.

Zakłady Wapienne

SULEJOWSKIE I OPOCZYŃSKIE

firmy

„JÓZEF BANDURSKI i S-ka“

Określiwszy przymioty naszego wapna, w poprzednich ogłoszeniach, więcej teoretycznie, przy zaznaczeniu ilości i sposobu produkcji oraz załączeniu szczegółowych analiz, wykazujących na 100 części 99 1/2 czystego wapna; niniejszem zwracamy uwagę, na fakt stwierdzony w praktyce, przez pp. Budowniczych, Majstrów mularskich i Przedsiębiorców że wapno nasze prócz wielu cennych przymiotów, wrobocie jest tak tłuste i wydajne, iż po zlasowaniu go i użyciu do robót, przyrost wykazuje się co najmniej 25% więcej w porównaniu z innymi (do 1000 cegieł użytej do muru z wyprawą, potrzeba użyć innych marek 2 1/2 do 3 ch korcy, naszego zaś nigdy więcej nad 2 korce) zatem do kalkulacyi ceny, tę różnicę, należy brać w uwzględnienie, z czego wypada, że wapno nasze nie tylko jest najlepsze ale i najtańsze!

Konkurencya znając te przymioty podszywa się pod miano Sulejowskiego, ze sprowadzanymi **posłedniejszemi markami** (najwięcej kolorem zbliżonemi do Sulejowskiego) rekomendując je za Sulejowskie węglem palone i jakoby z naszych zakładów pochodzące, objaśniając przytem w naiwnej nieświadomości, że wapno wypalane drzewem lepsze jest od wypalonego węglem (!!) dyskredytuje tym sposobem nasz produkt i wyrządza nam krzywdę! W obronie zatem własnego interesu, nie możemy tych manewrów konkurencyjnych, skierowanych nie tylko na naszą szkodę ale i ogółu interesowanego, pokrywać milczeniem i dla tego niniejszem ostrzegamy kogo należy.

Wapno przez nas produkowane, wysyłamy na wszystkie Drogi Żelazne, za gotówkę, lub zaliczenia kolejowe (nachnahme). Zamówienia przyjmuje kantor nasz w Warszawie Okopowa № 10. Tamże zamawiać można: CEMENT, GIPS, CEGŁĘ i GLINKĘ ogniotrwałą, TRZCI- NF; i t. p. 0—12

J. TUROWSKI
Nowy-Świat Nr. 23.

MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIEL-
NYCH I POKOJOWYCH
ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT
ZWYCZAJNYCH. (52-18)

MAGAZYN RĘKAWICZEK
Reniferowych i Źrebięcych

Tadeusza Witoszyńskiego

Krakowskie-Przedmieście Nr. 85
w pasażu.

Ceny stałe i niskie.

(4—2)

T. WITOSZYŃSKI.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH
A. Tomaszewskiego

ulica Podwal Nr. 497 lit B. (Nr. 5 nowy), w Warszawie.

Magazyn zaopatrzony w ogromny wybór sukna, kortów
i gotowej garderoby męskiej.Nowo otworzona Fabryka Polska
TKANIN METALOWYCH

oraz

Wszelkich Wyrobów Drucianych (52 29)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Bielańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pęczelnicze. Sita do kończyzny białej i czarnej, specjalnie przezemnie ulepszone, które oczyszczają bakkę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencyi, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do kończyzny czarnej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kakału i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łózek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i parzytkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i klubów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

„ZŁOTY UL“

FABRYKA PIERNIKÓW

w Warszawie, — Nowy-Świat Nr. 7,

poleca:

Pierniki słodowe, Chleb miodowy (Pumpernikel) zalecany zagranicą przez lekarzy na wszelkie *dolegliwości żołądka*, oraz *cierpienia hemoroidalne*; — ułatwia trawienie u osób słabych i wątłych dzieci.

Fabryka nabywa miód wprost od producentów, w każdej ilości po cenach targowych, oraz miody do picia. (52-11)



A. GOBIEC — znany z sumiennego wykonywania robót, obecnie Marszałkowska 139 — przyjmuje, jak zwykle, wszystkie obstalunki, tak z własnych jak z łaskawie powierzonych materiałów, wykonując pospieszenie i tanio. (6—4)

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, — Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. — Kalesony, Skarpetki i Szelki, — Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. — Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. — Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męzkich.“

52—35

HURTOWO-DETALICZNY

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

10—4

Poleca:

wielki wybór cygar, tytoniu i papierosów, z wszystkich fabryk rosyjskich i miejscowych, oraz gilzy własnej fabryki, z prawdziwej francuskiej bibułki „ABADIE“.

Dla P. P. Handlujących odstępuje towar na najkorzystniejszych warunkach.

Cenniki
na żądanie franco.

**ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI
F. SZYMANIEWSKIEGO**

Marszałkowska Nr. 94, obok Apteki BARCZA.

POLECA :

Zegary, zegarki pierwszorządnych fabryk Genewskich, Paryżkich i Freiburskich. Jak również przyjmuje do naprawy zegary, zegarki i zegary starożytne.

Jako długoletni pracownik pierwszorządnych fabryk zagranicznych, oraz paru najpierwszych zakładów Warszawskich, a ostatnie lat kilka w znanej firmie L. Babczyński, jako pracownik najpierwszych robót — poleca się z najakuratniejszą reperacją, przy gwarancji dwuletniej.

CENY JAKNAJNIZSZE.

12—1

PŁASZCZE GUMOWE
dla Dam, Mężczyzn i Dzieci
KUFRY, WALIZY, TORBY

oraz
wszelkie przybory do podróży

poleca

FABRYKA

T. L. BREYMEYER, Warszawa

Królewska Nr. 1 róg Krak. — Przedm.

52-39

J. SPORNY, Inżynier.

16-8

WARSZAWSKIE

PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE

i FABRYKA TEKUR.

poleca :

Asfalt (mastie) tekturę do krycia dachów i lak asfaltowy, smołę oczyszczoną bitum i gudron, oraz wykonywa roboty asfaltowe, dekarskie i betonowe po cenach nader umiarkowanych.

Oprócz zwyczajnych tektur do krycia dachów w różnych gatunkach, Przedsiębiorstwo produkuje taflę izolacyjne (isolirplaty) i wszelkie materiały potrzebne do krycia dachów, jako to: listwy trójkątne, paski, gwoździe i t. p.

Przedsiębiorstwo poleca również wyroby z betonu mianowicie: chodniki w monolitach, rynsztoki i burty.

Zamówienia przyjmują się w Kantorze Przedsiębiorstwa w Warszawie, ulica Erywańska (Plac Zielony) Nr. 14.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

**MAGAZYN MEBLI
ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW**

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najwiewszych żurnali (13-7)

Po kilkunastoletniej praktyce w pierwszorządnych zakładach krawieckich w Warszawie i zagranicą, otworzyłem

Magazyn Ubiorów Męzkich wraz z Pracownią
pod firmą:

P. WALASIŃSKI

przy ulicy Elekoralnej Nr. 25, wprost Szpitala Ś-go Ducha, w którym wykonywać będę wszelkie roboty w zakres krawiectwa wchodzące, tak z własnych jak i z powierzonych mi materyałów. (4—2)

SKŁAD MEBLI

13-11

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwinnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-19)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Treść numeru: Gospodarka finansistów warszawskich (Serya III) X. — Dewastacya czy szwindel? (Głos ze wsi). — Francya żydziała (d. c.) — Idealy belletrystyki pozytywnej (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia. — **W odcinku:** Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.). — **W Dodatku:** Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.